



Magazyn Literacki Składka
nr 2/2024 (12)
Tango



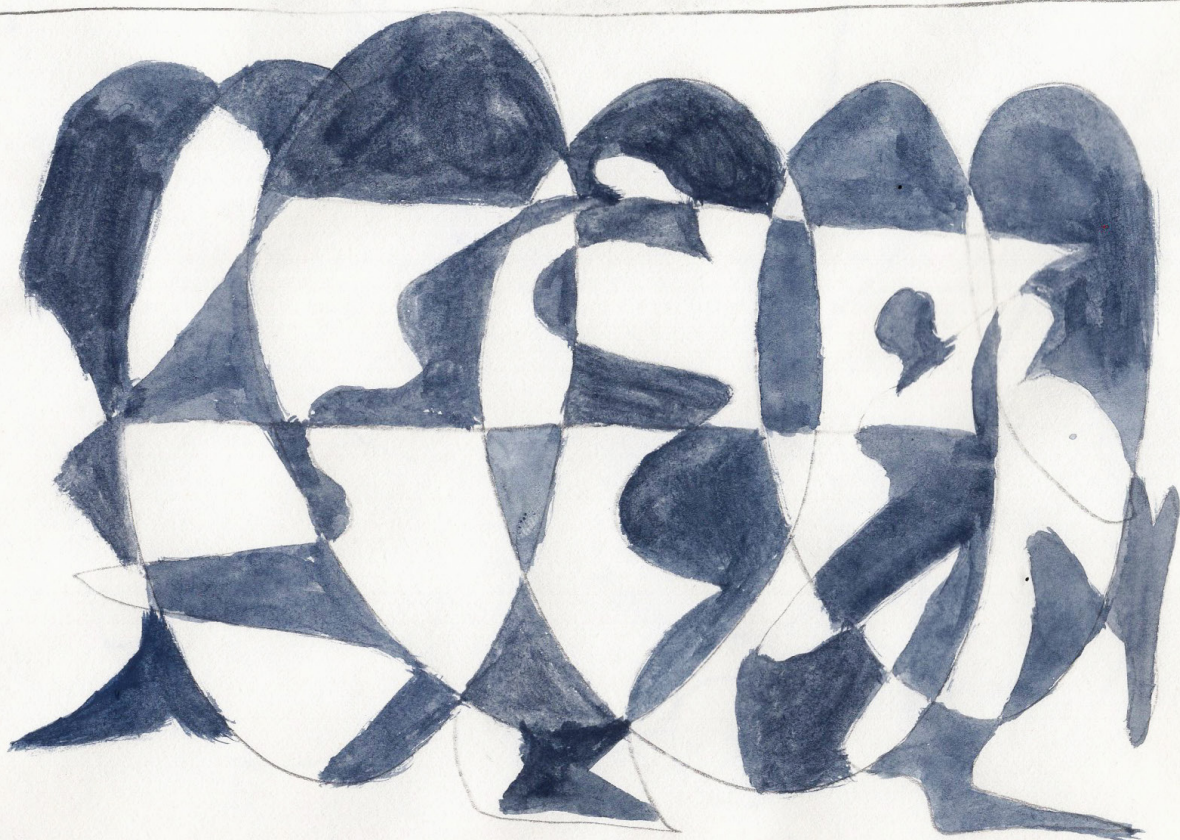
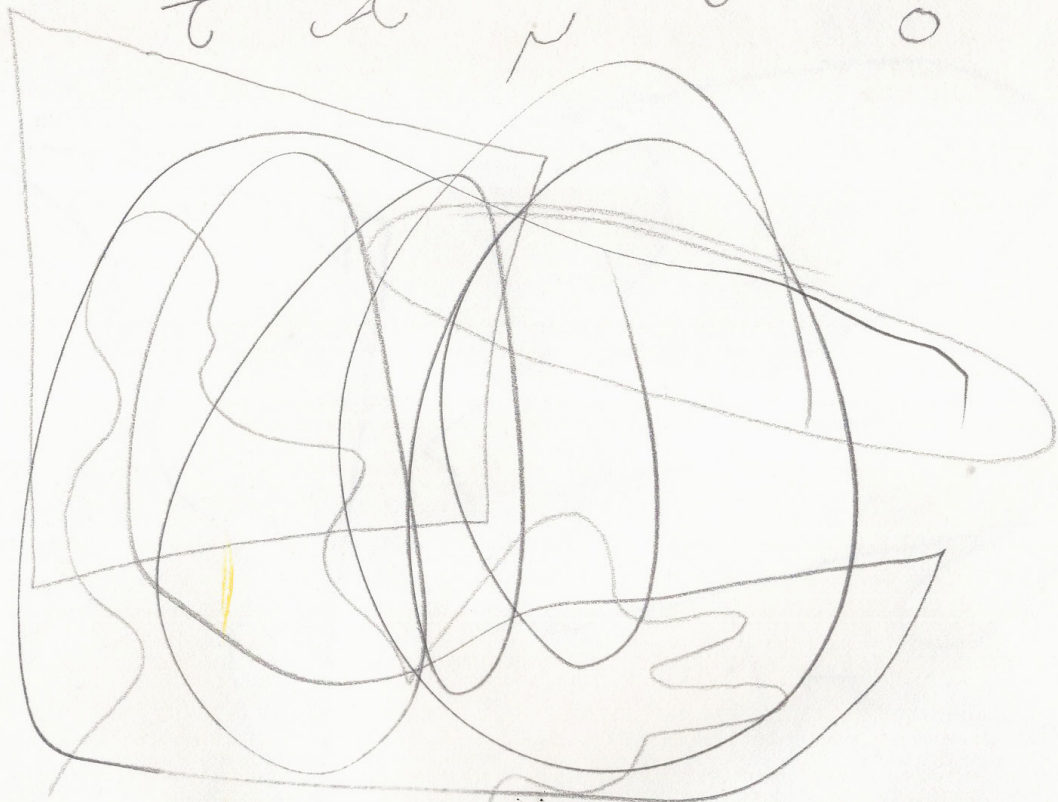
Kinga Skwira, Jowita Jakubiak, Paula
Polak, Marcin Salwin, Agata Fogtman,
Józefina Arodaz

Bogna Goślińska, Mira Król, Izabela
Pawlak, Dominika Pawełczak



- | | |
|----|---|
| 5 | Kinga Skwira
potańcówka w sklepie rybnym |
| 6 | Jowita Jakubiak
Milonga, wieja milonga |
| 10 | Paula Polak
ikea na targówku |
| 11 | Marcin Salwin
Ciągłe trawersować w poprzek |
| 16 | Agata Fogtman
pępek |
| 18 | Kinga Olszańska
Tango |
| 20 | Józefina Arodaz
Szarpanina |
| 26 | Bogna Goślińska
Pięć łatwych kawałków |
| 29 | Mira Król
.u.jarz.m.nie. |
| 37 | Izabela Pawlak
Gwiazdostany |
| 38 | Dominika Pawełczak
Tutaj się nie tańczy |

τ α μ ς ο



ah, nie nadaję się do istnienia,
schodzi mi lakier z paznokci
i patrzę na te ręce, jakby to były drzewa.

potañ-
cówka
w sklepie
rybnym

Kinga Skwira

Kinga Skwira (ur. w 1996 r. w Warszawie) – autorka książki poetyckiej *Wszystko już było dotykane* (2021). Nominowana do Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego za poetycki debiut roku (2022). W tym roku ukaże się jej druga książka z wierszami. Mieszka trochę w Paryżu, a trochę w Warszawie. Kiedy może, lepi z gliny (z różnym skutkiem).

Milonga, vieja mi- longa

Jowita Jakubiak

Milonga jest brutalna. Każdy z nas, *tangueros*, to wie. Choć posyłamy sobie uśmiechy, wykrzykujemy imiona, taneczne przydomki, choć całujemy się w policzki i wymieniamy grzecznościami, nikt nie przyzna, że dusi go własna przyziemność, że drżą mu nogi, a wino, które trzyma w ręce jest tylko atrapą nonszalancji, stresowym nałogiem. Pozór opanowania to obowiązkowa maska; bez niej nie zaproszą do tańca, a to najbardziej bezwzględny atak.

Milonga wymaga poświęceń. Głowa wysoko, spojrzenie pewne, uśmiech rozbrajający. Przywitaj się z jednym i drugim, załóż nogę na nogę, wyprostuj się, błyszcz, panuj nad mdłościami. Wytrzymaj **mar-
znące dłonie, napięty brzuch, rozsadzający od środka zamęt**. Stań się zaprzeczeniem prawdy o sobie.

Milonga to pole walki – nie ma tu miejsca na lęk. Niepewność dyskwalifikuje uchwycenie właściwego *cabeceo*. Odsłonięte plecy, wycięte sukienki, *Tangolery*, wyperfumowane koszule, szerokie spodnie w paski – niby cechy rozpoznawcze tanecznego statusu.

Dla mnie? Barwy wojenne.

Gdy nie tańczę, przypatruję się każdemu z nich. Znam wszystkich, większość z widzenia. To małe miasto. Od lat słucham historii, tych samych historii o porzuceniu, zdradzie, kłamstwie. Kto komu, kto z kim, dlaczego, co, kiedy, gdzie. W powietrzu nie unosi się zapach potu. Czuć jedynie zaduch samotnych ciał, uderzających o siebie w ciasnej *rondzie*. Ciał, które trzymają się w objęciu przez kilka utworów *tandy*, po czym dziękują sobie i przywdziewają wyuczoną obojętność. Kontrolowanie emocji jest oznaką szacunku. Nikt nie chce nikogo przytłaczać swoją samotnością. Chcemy być blisko, ale nie wiedzieć zbyt dużo. Chcemy

się dotykać, ale tylko gdy rozbrzmiewają tanga. To *bon ton* tanecznej intymności.

Wielu próbuje to spłaszyc, wyśmiać, zapanować nad wpływem tanga na system nerwowy – ja również jestem jedną z nich. Mam jednak w sobie na tyle rozsądku, by tanga nie prowokować, nie próbować mu nic udowodnić. Ono i tak zrobi ze mną swoje. A milonga? Ta stara jak świat milonga widziała wszystko.

Wchodzę na parkiet ostrożnie. Poddaję się własnej tęsknocie. Już się z nią nie siłuję, to przeszkadza w tańcu. Trzeba pozostać w nim szczerym. Szczerłość budzi zrozumienie, uzdrawia serce. A ja po prostu, ponad wszystko, *pragnę tańczyć*. Objęcie tancerza jest jak pakt; powitanie z myślą o pożegnaniu, radość łącząca się ze smutkiem, spokój pełen zmartwień. Zgadzamy się na wkroczenie do swoich samotni i cokolwiek w nich zobaczymy, zostaje w tańcu, gaśnie z ostatnim dźwiękiem. Póki tańczymy, dzielimy ten sam puls, zgrany rytm, jednakowy oddech. Rozkwita w nas melodia, drżąca w naszej wspólnej krwi. Jesteśmy niezwyciężonym, wirującym pięknem.

Tango kusi. Zawodowo mąci w głowie. Uzależnia jak narkotyk w przebraniu suplementu diety. Powtarzano mi, że to nie wina tanga, że to tancerze czynią go takim, jakim nie jest naprawdę. Tylko co na to teksty tang? Ta krew na podłodze, bójki za barem, zardzewiały nóż, czyjś krzyk? Co na to ich puste spojrzenia, spięte ciała, czarne wachlarze? Co na to moja złość i łzy?

Gdy ktoś odchodzi z tanga, nie muszę pytać dlaczego, znam bezmiar powodów. Lęk przed parkietem, bezlitosna rywalizacja, pieniądze, dużo pieniędzy, które tango pochłania, ale o najgorszym nikt nie chce

mówić zbyt głośno: lekkomyślne zakochanie, bezprawne pożądanie, miłość bez pokrycia.

Tango to szczególny taniec. Niewiele trzeba, by stało się przewrotnym narzędziem w rękach tego, kto bawi się nęceniem rozmarzonych umysłów. Chwila nieuwagi, moment słabości, doprawione liryzmem tanga, to jak zaprosić do łóżka rozszałałą burzę. Serce w kieszeni, później gdzieś zagubione, w środku nocy, na moście. Potem wstyd, złość, okrutne milczenie.

Wiele tang o tym śpiewa. Nie musisz znać hiszpańskiego ani lunfardo, by zrozumieć przestrogę. Wsłuchaj się w to zawodzenie skrzypiec, w skarżące się głosy cantorów, w jęk miechów bandoneonu.

I spróbuj zatańczyć, jeśli się odważysz.

Tylko nie mów, że nie ostrzegałam.

Słowniczek tangowy

Milonga to zarówno styl tanga (szybki, rytmiczny, pełen życia), jak i utwory tangowe (o zupełnie innym rytmie i dynamice niż tango i tango walc). W dyskursie tangowym tego słowa używa się również jako określenia imprezy tanecznej, na której tańczy się tango.

Tanguero to osoba tańcząca tango lub jego miłośnik.

Cabeceo to sposób zaproszenia do tańca ograniczający się jedynie do spojrzenia i ruchu głową (skinienia w akceptacji, bądź odwrócenia wzroku w odmowie). To argentyńska tradycja, której przestrzega z namaszczeniem każdy z tangueros (jeśli, oczywiście, chce być wzięty pod uwagę).

Tangolera Shoes, zwane w Polsce Tangolerami, to buty tangowe ekskluzywnej włoskiej marki o doskonałej jakości, uwielbiane przez tancerki tanga.

Ronda, jak sama nazwa wskazuje, to okrąg, którego torem poruszają się tańczący, w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, zupełnie jakby chcieli cofnąć czas.

Tanda, czyli trzy lub cztery utwory tanga, tango walca lub milongi, rozdzielone cortiną, neutralnym muzycznie przerywnikiem, w czasie którego tancerze zapraszają kolejne osoby do tańca (lub tę samą, co ma osobiste, często romantyczne, zabarwienie).

Bandoneon, zwykle mylony z akordeonem, jest świętym instrumentem tanga. Na początku XX wieku zyskał w Argentynie ogromną popularność. Po dziś dzień jego charakterystyczny dźwięk jest dla wielu tożsamy z brzmieniem tanga.

Jowita Jakubiak – obecnie studentka studiów magisterskich na poznańskiej Filologii Francuskiej. Specjalizuje się w literaturze francuskiej i frankofońskiej, lecz w rzeczywistości pasjonuje się literaturą z całego świata. Sądzi, że miłość do książek zrodziła w niej wspaniałą wrażliwość językową, którą pielęgnuje, pisząc. Sprovokowana chęcią zawładnięcia słowem, stara się ukazać w swoich tekstach kompleksowość otaczających ją zjawisk społecznych, jak i wyluskać z życia ukrytą w nim prawdę. Można ją znaleźć na Instagramie na profilu @erikameguide.

ikea na targówku

Paula Polak

świat z tego miejsca wygląda jak makietą
rozległy parking otoczony niskimi zabudowaniami wielkopo-
wierzchniowych sklepów
do tego moje mechaniczne ruchy krojenia, nadziewania, nakłada-
nia, podnoszenia, otwierania, wkładania, zamykania, żucia
staram się nie liczyć, ile razy rozgryzam jeden kęs
ale to się dzieje mimowolnie
mimochodem
ktoś kiedyś powiedział mi, że powinno się 28 razy
powstał pomysł: jak już zacząć jeść to może właśnie tak
kalkulując rozgniatanie między zębami, a po 28 razach już nic nie
ma
rozpłynęło się
tak, jakby nigdy tam nie było;
może to pierwszy mój samotny posiłek od kilkunastu lat
a może
te klopsiki w ikei są takie pyszne
a może nie
ruszam widelcem po żurawinę i groszek
patrzac na parking
wszystko wydaje się takie zgrane
i bezpieczne
ściągam chorągiewkę z ostatniego klopsa
i łapię się w odbiciu szyby przede mną
na przełykaniu

*Przestrzeń i miejsce w słowniku synonimów
występują obok siebie, oddzielone przecinkiem.*

(Klekot 2020: 52)

*Uh, uh / Check it, check it / Uh, uh, uh / I love you
And I need you / Nelly, I (Uh) love you / I do (Check it) need you*

Nelly – Dilemma (2002)

W *Life Size* z 2000, czyli filmie *Barbie*, zanim film *Barbie* był filmem *Barbie*, dwunastoletnia Casey, niepokodzona ze śmiercią swojej mamy, wpisuje w przeglądarkę nie-google hasło. Hasło w tej sytuacji bardzo logiczne. *Resurrection spell*. Casey oczywiście znajduje satysfakcjonujący wynik. Proszę bardzo – łatwa sprawa. Mamy to. Internet roku 2000 był prawdziwie cudownym miejscem.

Moim ulubionym sposobem na oglądanie *Zmierzchu* jest czekanie, cierpliwe, jak na *Znachora*. Zmysł łowiecko-zbieracki wyęcza się, aż oblane zielononiebieskim filtrem Forks objawi się gdzieś w oddechach telewizji, najlepiej na siostrzanej, mniejszej stacji TVN, wzbogacone o lektora z zabójczo niskim głosem. Ten, w jednej z kluczowych scen, powtarza stentorowo po Belli Swan „wiem, kim jesteś”. To właśnie ona, w drodze do właśnie tej konkluzji, zasięga po pomoc cyfrowych bóstw. Ciemny pokój, mgliste światło z monitora. Klik klak? na klawiaturze. *Cold one*.

Żadnych reklam zimnego piwa.

W antropologii nie brakuje refleksji dotyczących fenomenu miejsc ulokowanych w polu ambiwalentnego rozumienia słowa przestrzeń, miejsce czy terytorium. „Nie-miejsce” Marca Augé (w połączeniu

Ciągle tra- wersować w poprzek

Marcin Salwin

z „nie-czasem” Marka Fishera), *third-place* Raya Oldenburga czy sama w sobie koncepcja liminalności – stanu w zawieszeniu, stanu pomiędzy. Dla francuskiego socjologa Michela de Certeau przestrzeń to po prostu „praktykowane miejsce” (Certeau 2008: 117). Wedle Yi Fu Tuana przestrzeń ma swoją abstrakcję, a miejsce – człowieczą mięśistość.

Te pojęcia, chociaż dotyczą płaszczyzn, w sposób szczególny aktywują się wobec przestrzeni cyfrowej – tego słynnego cyberspace. Zwłaszcza tego mid-Y2K, pre-Y2K-revival era. Transport wobec i poprzez słynne *cyberspace* odbywać się może na różnych prawach i w różnych wymiarach – zarówno fizycznych jak i emocjonalnych. W sposób zapośredniczony, osobiście, przez obraz lub tekst. Ta cyfrowość Y2K robiła ze swoich użytkowników czarodziejów. Eksplorujących świat, którego reguły dla nikogo nie były jeszcze do końca jasne.

Third place to termin odnoszący się do miejsca innego niż przestrzeń pracy/szkoły lub przestrzeń domu. To miejsce rekreacyjnego spędzania czasu poza tymi głównymi ośrodkami pobytu – nieodbiegające od codziennej normy, a jednak inna niż te dwie wiodące w życiu przestrzenie. Nie tylko te fizyczne, ale również wirtualne. Taką może być chociażby już nieistniejący ClubPenguin albo, być może bliższe polskiemu widzowi, Panfu lub Movie Star Planet. Te wirtualne połączenia to miejsca służące interakcji społecznej, będące nieliminalną przestrzenią pomiędzy, poza i wobec świata codzienności, a jednak zakotwiczone w „niewyjątkowym” doświadczeniu regularnego życia. To miejsca, w formie MMORPG, których głównym celem jest swobodny czat i bardzo zrelaksowana rozgrywka, pozwalająca realizować niezobowiązującą, wypoczynkową funkcję społeczną.

Adolf Nomura proponuje frazę *sophistifuture* jako termin do opisu

specyficznego rodzaju przyszłości (dla nas: terażniejszości). Najprościej można to opisać, za autorem, jako *classy sci-fi* albo poszukiwać sensu w genezie znaczeniowej – ma być *sophisti* i ma być *future*. I chociaż oryginalnie termin odnosił się do specyficznego świata przedstawionego w grach z serii *Tekken*, to myśląc o terażniejszości jako realizacji spetryfikowanych w *sci-fi* lęków, naturalne jest porównywanie jej do wariantów fikcyjnych. I terażniejszość, niestety, nie jest ani specjalnie *sophisti* ani specjalnie *future*. Niewiele zostało z tego czarodziejstwa. Domenico Quaranta pociesza: „Dążenie do fotorealizmu ma na celu efektywniejsze wprowadzenie poczucia immersji do historii, czy to interaktywnej, czy nie, oraz sprawienie, by przepaść między fantazją i rzeczywistością była trudniejsza do zauważenia. Jednak fotorealizm to koncept całkowicie obcy głęboko zakorzenionej naturze mediów, za pośrednictwem którego jest generowany” (2010: 239).

„Siostry Bronte wynalazły własne Zork (...). Nie były tylko poszukiwaczkami przygód w makabrycznym świecie, były władczyniami lochów kontrolującymi narzędzia tortur i śmierci – mistrzyniami cmentarza” pisze w *Hamlet on the Holodeck* Janet Murray (2017: 205). Wydany w późnych latach 70. *Zork* to nic innego jak jedna z pierwszych przygodówek, jakie powstały. Niezwykle absorbujący gameplay opiera się, podobnie jak eseistyka (hatfu), na intensywnym pisaniu głupot i zadawaniu sobie pytań. Jako że to gra sprzed czasów, kiedy coś tak błędnego jak grafika było istotne, eksploracja świata odbywa się poprzez wpisywanie komend, a tym samym – rozpędzanie wyobraźni. Na każdy prosty prompt czasownikowy aktywuje się narracyjna odpowiedź od systemu.

> obejrzyj stół — wpisujesz sobie

Rzeczy wyglądają tak i siak, są takie i owakie — odpowiada

(bardziej merytorycznie) komputer.

Twój ruch.

I można tak w nieskończoność, trwać w tym para-wewnętrzny monologu, zamkniętym w ekranie DOS. Podróż odbywa się na płaszczyźnie literackiej i w znaczącym stopniu, jak na pocztówce – w głowie.

W *BrzydUli* bohaterowie niejednokrotnie mogą być przyłapani na pisaniu maili w Paincie, albo przeglądaniu Sympatia.pl jako .jpg otwartego w eksploratorze plików. W utworze *Dilemma* z 2002 Kelly Rowland próbuje wysłać SMS-a za pomocą Microsoft Excel (i dziwi się, że nie dostaje odpowiedzi). Ich własne, cyfrowe, listy w butelkach.

Marcin Salwin – wicemistrz powiatu w rzucie oszczepem z 2013. W 2006 laureat II miejsca w konkursie plastycznym dot. oszczędzania, a w 2019 - II miejsca na II Biennale Tkaniny Artystycznej. Nie czuje zapachów od 2022. Najszybszy uciekinier z Wiedzy o Teatrze, niepełny polonista, zadeklarowany magister sztuk pięknych. Reprezentant nieimponującego zarostu. Fatalny saksofonista, jeszcze gorszy trębacz.

Bibliografia:

M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, tłum. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008.

E. Klekot, *Miejsce powstaje w ruchu*, w: *Pomiędzy mapą a terytorium*, pod redakcją: K. Gliszczyński, Gdańsk 2020.

J. H. Murray, *Hamlet on the Holodeck. The Future of Narrative in Cyberspace*, Cambridge 2017. Przekład własny.

Yi Fu Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, tłum. A. Morawińska, Warszawa 1987.

D. Quaranta, *Estetyka gry. Jak gry wideo zmieniają sztukę współczesną*, w: *Światy z pikseli. Antologia studiów nad grami komputerowymi*, wybór M. Filiciak, tłum. M. Filiciak, Warszawa 2010.

ThorHighHeels, *The Style of Tekken 2 | Sophistifuture*, https://www.youtube.com/watch?v=5-_t92ok6J4 [dostęp: 05.02.24].

pępek

Agata Fogtman

czasami wplątuje się między ludzi, między osobę, zawijam się wokół niej, daję się wodzić za nos, pozwalam jej być pępkiem świata, oczkiem w mojej głowie.

potem wszyscy oni z tymi pępkami i oczkami świecą, a ja stroję cuda niewidy na kiju, żeby spomiędzy nas ciepło żadne nie uciekło (a to wszystko w rytmie „chciałbym umrzeć z miłości”). co chwilę tracę równowagę. wyginam ciało niezdarnie we wszystkie strony. dokładnie jak na festynie szkolnym tańcząc na gazecie podczas zabawy „para, której nie wysłiznie się balon spomiędzy brzuchów, wygrywa”.

jestem 10-letnim chłopcem, co chce poderwać swoją wyjątkową osobę na tym festynie, co się tak stara, ale jest niezręczny, co mu się język plącze, jak próbuje zagadać, ale walczy, dalej walczy o tę osobę. usłyszał w kolejce po watę cukrową, że relacje są ważne, bo to jedyne co zdrowego ducha trzyma na starość. więc drogą czystej 10-letniej dedukcji stwierdził, że chce znaleźć sobie żonę.

choć czuję się jak on, to wiem, że jednak nie jestem tym małym dżentelmenem i że wcale nie lubię waty cukrowej, ale sobie myślę, że też bym chciała znaleźć sobie żonę. więc daje się owijać wokół palca, a może i wokół kilku palców. owijam się tak długo, że nitki już nie starcza na nikogo więcej, a wszystko wygląda jak teatrzyk kukiełek (uwaga – gram główną rolę).

chcę, żeby ktoś wplątał się obok mnie, łącząc się ze mną opuszkami palców, końcami rzęs, włoskami po wewnętrznej stronie ud, co jakiś czas.

ja zawijam się wokół sideł (wokół palca tej osoby daję się owinać), myślę o pępku, co stał się moim światem, o mojej głowie z oczkiem, o opuszkach palców i rzęsach.

i rzucam okiem na swoje odbicie, zadając pytanie „a czym pępkiem
świata ja jestem”?

nikt się nie odzywa

ktoś sobie mnie owinął, ale w sumie mu obojętnie

czy jestem czy nie (tym pępkiem)

mówię

obojętność jest gorsza niż nienawiść

to relacja bez ludzi

słyszę

it's not you, it's me

nie rozumiem czemu

i wpłątuję się między tę osobę

odruchowo

nie wiedząc już

po co mam się w niej durzyć

Agata Fogtman – studentka malarstwa. Zajmuje się zjawiskiem tatuażu i estetyką komiksową.
Zaangażowana w środowisko zinowe. Co jakiś czas pisze do szuflady i kolekcjonuje wywrotki na
rowerze.



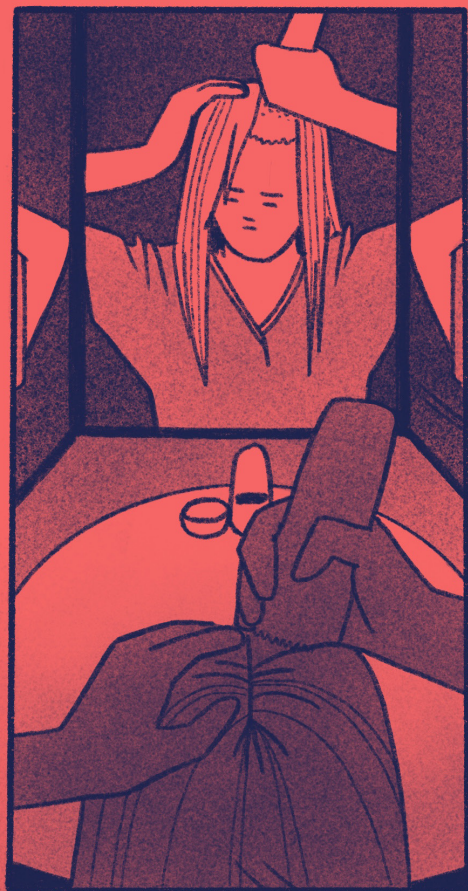
TAN GO

@OLSZA_KINGUIA

TANCZĘ TANGO
SAMA ZE SOBĄ.



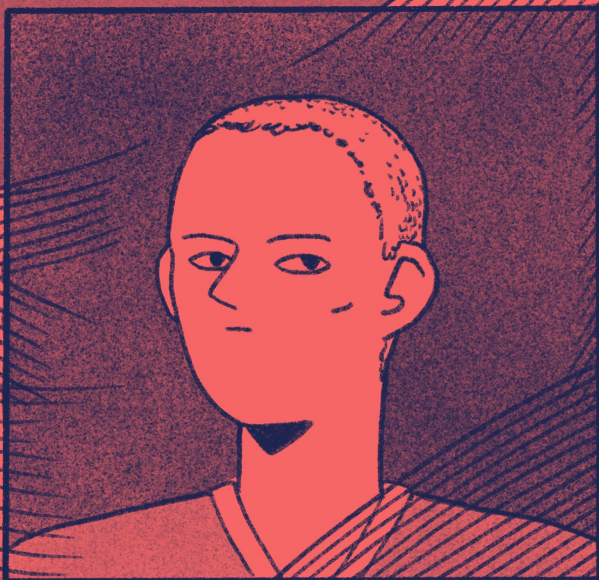
PRZEJMUJĘ KONTROLĘ.



MAM PEWNE I
ZDECYDOWANE RUCHY.

TAK DŁUGO ŻYŁAM
Z DAŁA OD SIEBIE.

CHCĘ BYĆ SOBĄ.



Szarpanina

Józefina Arodaz

I

Po południu w zerwany i snujący się po trawniku sznurek od prania zaplątała się kuna. Jej krzyk wyciągnął nas z domu. Obeszliśmy podwórko i w końcu ją zobaczyliśmy, jak szamocze się, napina sznurek, przewracając na boki, jak rozwiera pysk i szarpie głowę. Jeszcze nigdy dotąd nie oglądaliśmy kuny z tak bliska i tak długo. Były płochliwe, przebiegłe, po zapadnięciu mroku narzucały swoją obecność w garażach i stodołach, psuły samochody, nastreczały problemów. Przynosiły szkody. Patrzyliśmy, jak pierwszy raz w życiu któraś z tego plemienia zaplątuje się w sznurek na pranie z naszego plemienia. Baliśmy się zbliżyć i próbować ją uwolnić. Wyglądała na wściekłą, gotową przegryźć nasze skóry. Nie zrobiliśmy nic, czuliśmy się bezradni. Wróciliśmy do domu i czekaliśmy na powrót taty. Zadaniem taty będzie uwolnić od cierpienia kunę.

Przez następne godziny, w których starałam się odrobić lekcje, towarzyszyły nam piski i wrzaski zwierzęcia. Nie dało się skupić. Wyglądając przez okno zauważyliśmy z bratem, że za ogrodzeniem, niedaleko uwięzionej kuny, pojawiły się dwie kolejne. Stały i obserwowały, towarzyszyły. Chyba trzeba napisać o tym tak: były wsparciem dla tamtej, która bez przerwy napinała i luzowała sznurek. Męczyła się, a my razem z nią. Wszyscy czekaliśmy na powrót taty: ja, mój brat i trzy kuny. Zadaniem taty będzie uwolnić od cierpienia tę, która wyrwała się do wolności tak intensywnie, że jej ruchy przypominały rozedrgany, niezdrowy taniec.

Wieczorem nasz tata wrócił z pracy. Zaparkował samochód, zamknął garaż i ruszył przez podwórko w stronę źródła niepokoju. Obserwowaliśmy przez okno, jak zbliżał się do wymęczonej, walczącej ze sznurem

kuny. Stanął w bezpiecznej odległości, zamyślił się. Musiał widzieć jej wściekłość, jej beznadzieję, w którą wpakował ją głupi los. Obserwowaliśmy przez okno tę dwójkę i nie wiedzieliśmy, jak się to skończy. Byliśmy świadomi, że ojciec regularnie podkłada trutki na kuny, że próbuje różnych metod pozbycia się ich ze swojego gospodarstwa, a teraz jedna z nich jawnie zakłócała spokój jego rodzinie, groziła naszemu porządkowi. Kuny przynosiły szkody, a zadaniem taty było tylko uwolnić ją od cierpienia. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ma prawo wybrać sposób oswobodzenia, ale jednocześnie czuliśmy, że ta druga, wisząca w powietrzu opcja byłaby w jakiś sposób nie fair. Zawrócił do garażu, spędził tam chwilę, szukając czegoś, co pomogłoby mu rozwiązać sprawę, wyszedł znów. Założył grube rękawice, trzymał łopatę do śniegu i długi sekator. Wszyscy czekaliśmy w napięciu na to, co się miało zaraz stać. Dwie kuny za ogrodzeniem nadal czuwały przy cierpiącej, która na widok naszego ojca zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze. Rwała się. Podszedł w milczeniu, odgradzając się od niej szerokim dnem łopaty. Udręczone, spłoszone zwierzę natarło, uderzając w jaskrawoniebieską tarczę. Tępy odgłos ciała na twardym plastiku. Szybki, sprawny ruch dłoni z sekatorem. Kuna była wolna. Odczuliśmy ulgę. Chciałabym wiedzieć, jak one odczuwają ulgę.

II

Wszystkie ich wesela mieliśmy nagrane na kasetach VHS, które potem trzeba było ratować, przegrywając do zupełnie niekompatybilnych z dotykiem plików MP4. W tych rzadkich momentach, gdy odtwarzało się takie filmy uderzała śmieszność i przestraszała na widok młodych

twarży wszystkich tych ludzi, którzy byli już starzy lub nie żyli. Kolorowe pary złączone w zabawnym, skocznym tańcu, kołysały się w bok i do pionu, w bok i do pionu. Urywki z biesiadowania, galaretki z rosółu, torty z masy margarynowej. Długa zabawa w kółku połączona z zapętlonym śpiewaniem „Mam chusteczkę haftowaną”. Pod koniec niektórzy tańczyli na drewnianych stołach, wdawali się w bójki dla mocniejszych wrażeń lub przysypiali w kątach pilotując wirowania w ciężkich od alkoholu głowach. Moje piękne, młode ciocie, moi piękni, młodzi wujkowie, moi piękni, silni, zdrowi, nieuzależnieni, niezależni, czyści, bezbłędni, chętni na życie weselnicy.

III

Na wiosnę dostały się do ogródka łania z jelenkiem. Obudziło mnie wołanie matki, która chciała, żebym pomogła jej zagonić zwierzęta z powrotem ku wolności. Spłoszona łania wyskoczyła ponad ogrodzenie i pobiegła do przydomowego lasu. Na naszym podwórku został tylko jelonek. Młode stworzenie nagle musiało poradzić sobie z faktem, że znikła jego matka, a pojawiła się moja i że nie widział drogi ucieczki. Wyszedłem z domu i podeszłem do nich. Czułem, że razem z mamą cierpimy tak samo, widząc jak jelonek zaczyna rytmicznie uderzać głową w siatkę ogrodzenia.

Zastanawiałam się, jak zająć się tym cudzym dzieckiem, żeby nie wyrządzić mu krzywdy. Wiedziałam, że nie mogę go dotknąć, żeby nie przesiąkł zapachem człowieka, że, gdyby tak się stało, łania mogłaby go odrzucić. Otworzyłam szeroko bramę wychodzącą na nieuprawne pola, obeszłam złężnione zwierzę i rozłożyłam szeroko ramiona, imitując ruch skrzydeł.

— Idź, idź — przemówiłam łagodnie. — Tam, idź tam. — Wyciągałam ręce w jego stronę i zaraz odsuwałam, latałam dłońmi, trzymałam dystans, próbując przybliżyć jelonka do wolności. A on źle odczytywał moje znaki, cofał się w złą część podwórka i znów uderzał w siatkę, śmiesznie przy tym podskakując i nie rozumiejąc, dlaczego świat się przed nim zamknął.

Pracowaliśmy nad jego oswobodzeniem parę minut. Bałam się, że jelonk się wykończy i ten zły trans, to uderzanie rdzawo-brązową główką w ogrodzenie znajdzie finał w smutku. Udało się jednak.

— Idź, dobrze, jeszcze trochę — mówiłam — już ci się udało, już możesz biec.

Tak pokonaliśmy ogrodzenie.

IV

Zagrali *Kaczuchy*. Dynamiczne dźwięki porwały ludzi do tańca, a ludzie porwali mnie – małą, rozbieganą, ubraną w różową sukienkę w fioletowe plamy – w sam środek koła. Nie wiem, jak to się stało. Jeszcze przed momentem latałam po sali razem z innymi dziećmi. I nagle byłam tu – w wirze, w kotłowaniu, w ścisku, a jednocześnie zupełnie sama wobec wszystkich. Tańczyli, uśmiechali się i chyba chcieli, żebym dołączyła do zabawy. Ale mi brzydko biło serce, czułam, że ktoś wyrwał mnie z naturalnego środowiska, odgrodził od swobody. Stałam sztywno, smutna i zdezorientowana. W końcu mnie wypuścili. Mamy takie zdjęcie, na którym my – dzieci – biegamy między dorosłymi, których traktujemy bardziej jak labirynt ciał niż prawdziwych ludzi. Stary aparat nie potrafił objąć dokładnie naszego ruchu. Jesteśmy zamazanymi, wielobarwnymi, ulotnymi stworzeniami z baśni o polskim weselu.

V

Latem do pokoju w starym domu dziadków wleciała sikorka. Babcia zapytała nas, czy chcemy ją na własność. Popatrzyliśmy na siebie z siostrą. Chciałyśmy. Babcia poszła po pudełko po butach, a potem wędrowała po pokoju za sikorką, która nie rozumiała ani firanek, ani okien, ani nagłych ścian, bo wychowana była w poczuciu nieskończoności. Jej lot po pokoju wyglądał jak pokaz szamańskiego, intensywnego tańca. Fruwała jak fikcja. Zapatrzyłam się na tę niecodzienną scenę. Jakimś cudem ptaka udało się złapać. Trzepot skrzydeł szurał po powierzchni tektury. Życie było z tego pudełka, które babcia wręczyła nam z namaszczeniem i pozwoliła wrócić z sikorką do domu, żeby pochwalić się rodzicom. Szliśmy w górę zielonego pola, u szczytu którego stał nasz dom, a skrzydła były, były, były, a my się śmiałyśmy do życia, które dało nam ptaszka. Gdy dotarliśmy do drzwi wejściowych w pudełku nagle zrobiło się ciszej i ciężiej.

— Mamo, mam, mamy ptaszka! — wołałyśmy, a ona wyszła z kuchni i nie rozumiała, bo w naszych rękach było tylko pudełko i nic z żyjącej istoty. — Mam ptaszka. Babcia dała nam ptaszka. Wleciał do pokoju i złapałyśmy go.

Pamiętam, jak wyjmowała nam pudełko z rąk, jak stała na ganku wysunięta w stronę balustrady, licząc jeszcze, że to, co tam znajdzie – po prostu wyfrunie. Pod pokrywką znalazłyśmy martwą sikorkę we krwi.

— Co wyście zrobiły? To okropne, tak się nie robi. — Pamiętam, że mówiła do nas ostro, surowo, bez cienia zrozumienia, natomiast samą sytuację martwego ptaka naznaczyła łagodnymi słowami. — Pękło jej z żalu serduszko.

Kazała nam wrócić do domu. Płakałyśmy. Trudno było nam zrozumieć, że ta pełna trzepotu sikorka, zupełnie niedawno oddana w naszą opiekę, odmówiła życia. To było pierwsze, co niepotrzebnie zabrałyśmy światu. Po co ją chciałyśmy – musiałyśmy się nad tym zastanowić.

Józefina Arodaz (ur. 1997) – pisze pod pseudonimem, pracuje w bibliotece, mieszka na wsi. Ukończyła studia azjatyckie, spędziła też jakiś czas na krytyce literackiej. Publikowała na łamach magazynu *BIS AGH*. Inicjatorka projektów *Placz nad rozlanym* (2023) oraz *Wielobajka* (2022, 2023). Entuzjastka uczt, dzikich słów, ucieczek i rzeczy szwankujących. Znaleźć ją można na Instagramie na koncie @josefinaarodaz.

Pięć ła- twych ka- wałków

Bogna Goślińska

Do przedwiośnia ma chłodny stosunek, wciąż nie wierzy w nadejście lata. Dni są przejrzyste i zimne jak metal, jedyna miła rzecz, jaka wydarzyła się kiedykolwiek, to piętnastoletni chłopiec, który pokochał ją w gimnazjum. A teraz jest bardzo głodna.

I

Gdy w kwietniu pojawiają się pierwsze kwitnące drzewa owocowe, rabuje drzewo z pachnącej gałązki i wacha do nieprzytomności, żeby się nacieszyć. Poznaje go na imprezie, zabawa jest tak słaba, że kończy się bez rzygania. Nie ma czasu na nienazwane randki, bo pobyt jest tymczasowy, miesiąc kwiatów mija szybko, a życie wypełnia się deszczem ze śniegiem i oczekiwaniem.

II

Znowu maj, chwytą go za gardło i trzyma mocno, aż pocą jej się ręce. Ale przychodzi zimna zośka i zagania wszystkich do domów, ona biegnie w deszczu dookoła jeziora z odpornością dziecka. Romanse są jeszcze niewinne, bezcielesne, kiedy ogląda filmy z rodzicami, rozpalają ją wibracje położonego obok telefonu. Na przystankach przyszczaci w garniturach i długie warkocze, pod kościołem dzieci na biało, ludzie wyżsi i odprasowani. Paraliżuje ją myśl, że musi jak najlepiej wykorzystać czas między majem a wrześniem, miesiące, które mijają w mgnieniu oka, zanim zdąży zachłysnąć się piwem. Zaczynają się niebieskie noce.

III

Czerwiec uderza z miękką zielonością, która formuje tunele na przedmieściach, przejeżdża przez nie z uchylonym oknem, z upojeniem dojrzałą wiosną. Zamiast radości często czuje lęk, że to wszystko minie

zbyt szybko, niewykorzystane. Jak pada, to zieleń błyszczy jak fluorescencyjna folia. Trawa jest już tak wysoka, że można pomoczyć całe nogi. Jedzie na wycieczkę zakochana. Stawia kroki powoli. Dni mijają szybciej niż odległość dzieląca dwa ciała w łóżku. Wraca, bo musi. Dzieci z lodami bez żadnych planów na następne lata. Świątuje jeszcze imieniny ze szkolnymi znajomymi, wraca zygzakiem na rowerze. Czerwcowe światło nagrzewa miejski beton do czerwoności i znika.

IV

Po raz ostatni ma za dużo pieniędzy i wolnego czasu. Chwilowo nigdzie nie płaci za nocleg, więc płasem przemierza arterie o nazwach jak z powieści rozpalających kobietą namiętność. Podgląda nastolatki i ich papierowe świadectwa dojrzałości. Mocno ściska samą siebie w talii, zastanawiając się, gdzie kończyło się jej ciało dwa sezony temu. Lipiec jest duszny, nudny i zmięty jak prześcieradło po nocy bez snu. Odkrywa coraz to nowe miejsca, w których może zbierać się pot. Po cichu szuka drogi do łazienki: mieszkanie przecina na wskroś strużka niskiego słońca, kafelki są zimne, parkiety letnie. Pije kawę z cudzej kawiarki, a w drodze łapie jagodziankę w cenie jednego obiadu.

V

Nad ranem zrywa się z gołego materaca po koszmarze. Sierpniowy żar okrył ich lepkiem brudem po krótkiej drzemce. Oboje są zakochani, ale żadne się nie przyzna, to gra o sumie zerowej. Żeby nie mieć go nigdy dość, wychodzi na dobre, zdusza w sobie tęsknotę, która zaczyna się przed przełożeniem stopy za próg. Robi to z przezorności, zanim rozejdą się do swoich spraw, okrutnie osobni. Dbą o przyszłe wspomnienia, chce, żeby lśniły jej w głowie jak wypolerowana zbroja. Gdyby

została, pokonywaliby dystans widokiem spranej bielizny, niechcianych wydzielin i bólem brzucha rodzącym złośliwość. Osiem pięter niżej czuje, że wypociła całe poczucie winy. Łapie pierwszy dzienny tramwaj, wyblakła, jak słońce, które wzeszło na dobre. W zakurzonych sandałach chowa brudne pięty. Będzie zacięcie słuchać muzyki, aż w końcu ta jedna nuta zaatakuje jej krew melancholią.

Nie nazywaliśmy tego jak należy. Brak zrozumienia, brak definicji. Pouczano nas tylko na każdym kroku, by robić to, co do nas należy i jak należy. Podkreślając czas dokonany czynności, których się podejmowaliśmy, nierzadko pod przymusem.

Na wszystko jest czas i miejsce.

Wybiórcze nauki dawkowano nam z uporczywością przewlekłej migreny, młot pneumatyczny drylujący naszą czaszkę, pozostawiający mięsko mielone w miejscu, w którym anatomicznie powinien znajdować się mózg. Całą resztę, z której byliśmy polepieni, zrównywano z fanaberią wieku adolescencji. Zderzaliśmy się ze ścianą, kilka kroków w tył, rozbieg i *déjà vu*.

Nikt o tym głośno nie mówił: czym właściwie było to „wszystko”, które ma na nas spłynąć, gdy czas i miejsce w cudowny sposób splecą się i otworzą przed nami wrota do czasoprzestrzeni dostępnej dla „mistrzów gry”, złotoustych mędrców, którzy posiadli prawdę.

W duchu pragnęliśmy jedynie posklejać potłuczone szkiełka w witrażyki i ustawić je w stacje z zachowaniem zasady przyczyny i skutku. Każda stacja wiodłaby nas do następnej, rozszerzając nasze uprawnienia i mnożąc narzędzia do odkodowywania jutra: moce zdrowia, serca, magii, odwagi, miłości i rozumu. Paź, giermek, rycerz – czy oczekiwaliśmy zbyt wiele?

Nikt o tym głośno nie mówił. W gruby warkocz splećło się to, co ważne, z tym, co na uwagę nie zasługiwało. Brakowało nam języka do opisanie rzeczywistości pęczniejącej wokół nas. Burza w szklance wody, to sprawy dorosłych, nie dotyczy, zajmij się swoimi sprawami – mówili, urywając temat, zmieniając go, gdy tylko nasza dociekliwość stawiała się niewygodna.

.u.jarz.m.
nie.

Mira Król

Pozornie zaakceptowaliśmy niezdolność i wszędobylską bezmienną, łaszac się do wirtualnej bańki, która, jak miał nam pokazać wkrótce czas, okazywała się gównem ubranym w połyskliwe sreberko. Tak, czas pokazywał nam środkowy palec po mistrzowsku. W mroźne dni rozsypywał oranżadkę na rdzy trzepaka i robił zakłady, ty nie zrobisz?, nie bądź frajer, nie peniaj. Zostawała po nas cienka skóra języka, ażurowa tkanka przymarznięta w miejscu próby konformizmu. Byli i tacy, którzy wciągali ją nosem, renegaci i prorocy jutra.

Co by nie powiedzieć, czas się w tańcu nie pierdolił.

Co by nie powiedzieć, czas się z nami nie pierdolił. Nie cackał. Skumał się z dorosłymi, po mieczu i po kądzieli, rączka rączkę myła.

Nie cackaj się z nim, za bardzo się z nią cackaliśmy. Nie wtrącaj się. To rozmowy dorosłych. Dzieci i ryby głosu nie mają. Nie pyskuj! Gówniara jedna. Ty tępa dzido! Wstyd mi przynosisz! Jak ty wyglądasz! W dupach się poprzewracało! Było ci za dobrze, rozpuszczony gnój! Jeszcze nam napsuje krwi! Spójrz na matkę i zrób coś ze sobą! Zbękarci się nam!

Twój syn.

Twoja córka.

Mieliśmy mokre sny, w których szliśmy w tango.

Mieliśmy sny o życiu.

Mieliśmy sny, a może to sny miały nas i z nas niezłą bekę. W snach żyliśmy bardziej, a może tylko nam się wydawało. Śniąc, wracaliśmy do domu, a może tylko ślepo w to wierzyliśmy. „Dom to stan umysłu” – te słowa trzeba wypowiadać z odpowiednią intonacją, nie pozostawiając

żadnych niedopowiedzeń, drwina i *wishful thinking*.

Może – gdybanie, ocean bez dna, morze możliwości. Wyolbrzymienia (to, co wbrew naturze, ma w niej najgłębiej zapuszczone korzenie i najsilniejszą moc projekcji i wyparcia), kontrasty, śmierci, odejścia, powroty, tu jednak nic nie było nam straszne, zawsze można było się uszczypnąć i wyjść jak z escape roomu, jak z sesji BDSM, słowo-klucz, hasło-ucieczka. Pozorna utrata kontroli i zawór bezpieczeństwa. I ta naiwna pewność granicząca z wszechmocą, że tu nikt nie wypali nam na skórze prawa własności. Wszystko jest grą, jak ciuciubabka z happy endem, palimy na stosie formularze zwrotów i reklamacji. Dla każdego mamy dyplom i ciepłego loda. Róże nie kołają, ale i nie pachną. Czy wyrzekasz się szatana, który jest głównym sprawcą grzechu? Nie odpowiadaj, jeszcze nie teraz. Podlewaj róże suchą wodą.

Śniły nam się wypadające zęby, które chowaliśmy po kieszeniach, z niewzruszoną pewnością, że to się naprawi. To tylko drobna usterka systemu, obejdzie się bez ponoszenia dodatkowych kosztów. Przecież mama nas nie zbije.

Śniły nam się biegi przez las w stroju Adama i Ewy. Pół dzieciaki, pół Bambi. Świeciliśmy lusterkami jedno drugiemu, przeskakiwaliśmy na drugi brzeg rzeki, a nasze kopyta pozostawały suche. Opadająca woda odsłaniała kości naszych sióstr i braci, których zgubił za krótki rozbieg. My biegliśmy dalej, nie odwracając się za siebie, to wybija z rytmu. Przed nami malował się kolejny level, kolejny stopień wtajemniczenia.

Śniły nam się biegi, a nasze nogi jak z gumy. Podeszwy butów zdawały się przyklejone na stałe do podłoża. A może to było jakieś przeciążenie, siła grawitacji postanowiła nas zassać do środka ziemi, a my broniliśmy

się przed tym, napinając całe swoje ciało, jak jeden wielki mięsień.

Śniły nam się dachy wieżowców, na których pojawialiśmy się znikąd, co wiele mówiło o nas, kalki z drugiej strony żrenicy. Dachy, z których spadaliśmy za każdym razem, gdy tylko stawały na nich nasze stopy. Serca podchodziły do gardeł. Loty zdawały się trwać w nieskończoność, którą przerywał dźwięk budzika, nawołujący z drugiej strony życia. W sztuce spadania trenowaliśmy się z uporczywą regularnością, kilka nocy w miesiącu.

Śniliśmy o martwych, którzy wracali na swoje miejsce, siadali na swoich krzeselkach i kładli się do swoich łóżeczek. Byli bardziej żywi niż przed śmiercią, a my umieraliśmy. Umieraliśmy, ma się rozumieć, naturalnie, dzień po dniu, ale i z ciekawości, dokąd zaprowadziło ich światło, które jest nam obiecane, jak brelok z gołą blondyną po dziadku. Topos *homo viator* przewijał się jak film na VHS. *Remake* i wtórność. Niskobudżetowa kontynuacja wędrówki za płonącym żarliwie ciałem niebieskim, gdzieś tam rodziło się następne szczenię, które łąda moment rozwiesimy na krzyżu jak mokrą bieliznę na sznurze, bo niebezpiecznie będzie się wyróżniać. I czy istnieją dobre chęci, którymi nie jest wybrukowane piekło? I dlaczego magnetofony wciągały taśmę? Pytaliśmy, ale martwi, chociaż żywi w snach, milczeli. Obecność miała wystarczać.

W snach włamywaliśmy się do ich umysłów, szukając odpowiedzi, szukając pytań.

Śniliśmy, a tłem naszych mar był synthpop, elektryzujące dźwięki nawołujące nas z rozchodzącej się w szwach nieskończoności wszechświata, który się kurczył jak usychająca śliwka. Oczko w parze nylonowych rajstop zwiastowało rychły koniec.

Koniec roku szkolnego wyganiał nas z miast do wsi, do naszych babć i dziadków. Byle nie pałętać się pod nogami, zejść z oczu ojców i matek, tyrających dla nas i na nas.

Popsute sprzęty, stare meble, gabaryty, wywoziło się raz do roku na wielkie wysypisko bezmiaru różności, na furze ciągniętej przez Baškę. Baška była kasztanką dziadka Mańka. Miała dziką naturę, „nie do ujarzmienia” – mówili na targu koni. Nie do ujarzmienia? – to jak wyzwanie uszyte wprost na miarę dziadka. Wodzenie na pokuszenie. Nie ma konia, którego dziadek by nie oswoił. Konie go czuły, a on wyczuwał konie. Wiosna, pełna buntu, wierzgania i przeskakiwania z trwogą przez płot, stanowiła narowisty prolog do letniego zrównoważenia sił. Baška jadła dziadkowi z ręki, tylko z jego wielkiej jak bochen dłoni zgarniała kostki cukru, ćwiartki jabłek i inne smakołyki, które w kieszeni fartucha przemycał dla niej dziadek. Pozostali musieli zaakceptować jej zagadkową, nieprzewidywalną naturę i zachowywać bezpieczną odległość.

„Młodzi mają coś z mojej Baški” – dziadek lubił się w porównywaniu ludzi do swoich ukochanych koni. W oczach dziadka nikt i nic nie mogło się równać z dobrym koniem. „Nie ma takiego młodego, którego nie da się ujarzmić” – mawiał nad talerzem czerwonego barszczu. Tylko tyle i aż tyle. Zastanawiałam się, ile jest w tym prawdy. A potem wracałam w pamięci do Baški, która do końca swoich końskich dni ufała tylko wybranym. I czy da się to powiązać z miłością, która w ujarzmieniu zakłada jednak swego rodzaju pierwiastek wolności? A może to tylko brak precyzyjnych definicji, poruszanie się po obrzeżach zbiorów, w poszukiwaniu po omacku punktów styku. Dziadek był mądrym i dobrym facetem. Mówił niewiele, ważył słowa, każde słowo coś znaczyło, dojrze-

wało w nas latami jak dobre wino. W przeciwieństwie do potężnej masy innych dorosłych, którzy miłowali się w podtapianiu nas w słownych kąpielach, z których nie wynikało dla nas zupełnie nic. Na co to tak strześć ozory. We wszystkim trzeba znać umiar.

Lato się kończyło i wracaliśmy ze wsi do miast. Baśka żuła siano, a my mieliśmy wystawiać się na przeżuwanie, bo taka jest kolej rzeczy. Towarzyszyć miał nam zgilek słów i tęsknota za umiarem, i tak przez następne dziesięć miesięcy.

Mówiono nam tak dużo, nie mówiąc nam niczego. Cheesy zagryzaliśmy frytkami i popijaliśmy colą.

Studiowaliśmy odchodzenie od tematu, obracanie kota ogonem, podchodzenie jak pies do jeża. Zdawkowe odpowiedzi, jak pigułki, łkałyśmy garściami, działały objawowo. Karmiliśmy się złudnym przekonaniem, że zyskujemy trochę czasu. Katar leczony trwa siedem dni, a nieleczony tydzień.

Kolekcjonowaliśmy żółte szkiełka z rozbitych barierek balkonów poperełowskich bloków. Patrząc przez szkiełko, łatwiej było nam uwierzyć w słońce, które zdawało się mieć na nas wywalone przez dłuższą część roku. Uczyliśmy się nie być frajerami i decydować się na prawdę albo wyzwanie, jakby od tego zależało nasze życie. Poniekąd zależało. Wygrać, a nie zostać ograny.

Rozbijaliśmy bazy między obskurnym drewnianym sklepem, którego właściciel pachniał dymem, innym niż ten, który znaleźliśmy z naszych domów, a trzepakiem, do którego ustawiały się kolejki przed świętami,

i dorastaliśmy oddzieleni kocami od naszych ojców i matek. Były to jedne z wielu dni prób, które miały zweryfikować stopień naszej adaptacji do prawideł, jakim podlega życie w społeczeństwie.

Nauczeni, że pokorne ciele dwie matki ssie, wchodziliśmy do kołowrotku i robiliśmy swoje, obracając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Wyrzekaliśmy się precyzji ostrych jak brzytwa refleksji. To co krwawi, powinno pozostać w ukryciu.

Były sprawy dorosłych, do których nie wolno było nam wściubiać nosów. W tę grę graliśmy jak w każdą inną.

Modelowanie jako jedna ze skutecznych metod uczenia się, szczwany mechanizm zmiany zachowania pod wpływem obserwacji zachowania innego użytkownika naszego środowiska. W dużej mierze bazujący na automatycznym procesie przejmowania cudzych reakcji.

Kolekcjonowaliśmy cudze, aż stawało się naszym.

Wkraczaliśmy w dorosłość, nie wiedząc, czym ona jest, z czym się ją je. Liznąwszy cukierka przez papierek. To, co nienazwane, przypieczętowane niemą akceptacją, gryzło nas od wewnątrz jak sweter z surowej owczej wełny. Kowadło zamknięte za żebrami nie pozwalało nam oddychać pełną piersią.

Zapadaliśmy się w życie jak nóż wsuwający się w zjełczałe masło.

I czy naprawdę nie istnieją dobre intencje, którymi nie jest wybrukowane piekło?

Podwójne zaprzeczenie.

Nikt nikogo nie nauczy jak żyć. Potrzeba tu dobrej ręki jak do konia i szwedzkiego stołu. Kilku spojrzeń, gestów i ćwiartek jabłka w drelichowych fartuchach. Wszystko to tylko kilka wskazówek, nauka zadawania pytań, a nie łamanie charakterów.

Kasety można przewijać ręcznie, trzeba wyciągnąć blokadę i kręcić. Następnie tę samą rękę włożyć do gardła i zwrócić wszystko, czym do tej pory nas karmiono. Potem umyć ręce i wziąć trzy głębokie oddechy. Kurację stosować do uzyskania zadowalającego efektu.

Nic o tym nie wiem, ale proszę dać mi kwadrans.

pytasz: czy zaiskrzy między nami?
niech Leda ci powie
skoro myśli ma niepłodne
czy wciąż kusi boski potencjał

indywidualizm wodoru gardzi
kolejnymi wielkimi wybuchami
po raz pierwszy od wieków chce żyć
na własny rachunek

i może to dobrze,
że coraz mniej tych bezmyślnych cząstek
na co komu kolejne gwiazdostany –

fanatycy Jeziora Gęsi znów podkradają piruety
i chcą tańczyć jeszcze raz tango strapionych
bo tylko wtedy wszystkie gwiazdy dla nich lśnią
w ledowych błyskach, w cudzych oknach –

tacy z nas współcześni pirotechnicy
zimne ognie w zimnych dłoniach
i głowy pełne niewypałów
dostatecznie blisko siebie
na szczęście

Gwiazdo- stany

Izabela Pawlak

Izabela Pawlak – rocznik 1994, urodzona wczesną wiosną, na przełomie pór roku. Mieszka w Krakowie, pochodzi ze świętokrzyskiej wsi i opiekuje się kotką Pandorą (adoptowaną na początku pandemii). Teksty nigdzie wcześniej nie były publikowane, pisze bardziej do szuflady. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @czytadla.pandory.

Tutaj się nie tańczy

Dominika Pawełczak

Sklejam się z podłogą i ani tkanka zadrży –
A ona przychodzi i mówi mi,
Że tutaj nie wolno tańczyć.

Usilnie zawężam więc gałek ocznych zakres
I oddycham płasko jak głaz,
By choć o milimetr nie zadrzeć,

A ona wciąż dociekliwie patrzy
I z każdym smagnięciem pulsu powtarza,
Że tutaj się przecież nie tańczy –

Więc przyklejam język do podniebienia
I struny głosowe sznuruję,
By posłusznie pozbawić się drżenia.

Pozostają tylko najgłębsze wstrząśnienia,
A ona obserwuje i wciąż mówi,
Że tutaj jest zakaz tańczenia;

Chcę już uwolnić się z tego leżenia,
Ale chyba zaczynam jej wierzyć,
Że moje ciało to drżąca tkanka,
Która lada chwila niegodnie porwie się do tańca.

Dominika Pawełczak (ur. 1995) – lekarka i publicystka. Największa fanka swojego psa i drożdżówek z kruszonką. Mieszka i pracuje w Berlinie. Instagram: @pawel.czak.

TANGO



Zespół Składki: Krystian Furga, Klaudia Kołodziejczyk,
Jowita Mazurkiewicz, Sandra Moczulska, Marcin Salwin
Korekta i redakcja: Krystian Furga, Jowita Mazurkiewicz
Skład: Klaudia Kołodziejczyk, Sandra Moczulska
Projekt okładki: Marcin Salwin (@_salwin)
Grafika na stronie 4: Ola Sowińska (@koallaola)
Grafika na stronie 39: Miłosz Gąsiewski (@miloszgasiewski)
Grafika na stronie 41: Kinga Olszańska (@olsza_kingula)

Magazyn Literacki Składka, Warszawa 2024
www.magazynskladka.pl

Składka to internetowy kwartalnik literacki publikujący teksty młodych osób autorskich założony przez Krystiana Furgę i Klaudię Kołodziejczyk w 2021 roku w Warszawie. Po więcej informacji wejdź na naszą stronę magazynskladka.pl lub zaobserwuj @skladkamag na Instagramie.

TANGO





SKLADKA